

sobota, 10.10.2026

CIEKAWOSTKI: Malował obrazy szatana. Po śmierci klinicznej nawrócił się i... zbudował pierwszą w Polsce kaplicę pod wezwaniem św. Faustyny

Przemiana, którą przeżył Jan Ben Radecki, jest jedną z najbardziej niezwykłych. Z malarza obrazów satanistycznych do ekstrawaganckiej kawiarni na rynku we Wrocławiu o wiele mówiącej nazwie Mefisto, Radecki stał się fundatorem i budowniczym pierwszej w Polsce kaplicy pod wezwaniem św. siostry Faustyny.

Wywiad pochodzi z książki *Życie po śmierci 2* autorstwa ks. Wiktora Szponara, wyd. FRONDA.

Czy tak niesamowitą drogę można przejść bez Bożej łaski, która objawiła się podczas NDE?

Droga, którą Pan przebył do tego miejsca, miała niespodziewane zakręty.

Wychowałem się w bardzo pobożnej rodzinie, ale z biegiem lat wiara we mnie umierała. To był taki powolny rozkład. Pomimo tego, że w moim rodzinnym domu przestrzegane były wszystkie religijne zasady, to brakowało mi osobistej relacji z Bogiem. Po ślubie założyłem we Wrocławiu zakład, który produkował szyldy. Biznesowo to się okazało strzał w dziesiątkę. Mieliśmy naprawdę dużo pieniędzy, choć były to lata 70. Żonie i dzieciom niczego nie brakowało. Niestety wpadłem w złe towarzystwo. Uważałem, że wszystko można załatwić przy wódce. Tak się wtedy załatwiała sprawy biznesowe czy urzędowe. Moimi priorytetami były pieniądze i biznes. Celem mojego życia była przyjemność, którą można osiągnąć, mając w kieszeni gotówkę. Moja rodzina miała wszystko, naprawdę wszystko jej zapewniałem, poza mną samym. Moja córka miała wszystko poza ojcem, choć fizycznie bywałem w domu.

Wierzył Pan wtedy w Boga?

Tak, ale był On odległy w moim życiu. Nie przestrzegałem dekalogu z wyjątkiem drugiego przykazania Bożego. Nie wiem dlaczego, ale zawsze miałem dużą wrażliwość, żeby nie mówić imienia Pana Boga nadaremno. Zawsze jak ktoś bezsensownie mówił: „O mój Boże!” albo „rany Chryste”, to byłem tym bardzo poruszony. Ta wrażliwość na drugie przykazanie była niewspółmierna do mojego życia duchowego. Bez przesady mogę powiedzieć, że jeśli ktoś mówił imię Boże nadaremno i jeszcze mieszał je z wulgaryzmami, to wręcz przechodziły mnie dreszcze.

Jak się zaczęła historia, która odmieniła Pana życie?

Z zawodu jestem malarzem i muzykiem, takie zdobyłem wykształcenie. Pewnego dnia dostałem propozycję namalowania wielkiego obrazu przedstawiającego diabła. Obraz miał „zdobić” modną kawiarnię na rynku wrocławskim o dużo mówiącej nazwie Mefisto. Dzisiaj tej kawiarni już tam nie ma, a na jej miejscu powstało Muzeum Sztuki Współczesnej. Malowanie szatana w tamtym czasie nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Uważałem, że nie ma nic złego w prowadzeniu kawiarni, która swoim stylem i aranżacją nawiązuje do diabła. Po prostu zwykły pomysł na biznes. Nawet jeśli gdzieś usłyszałem, że bawienie się w symbole diabelskie duchowo jest bardzo niebezpieczne, to uważałem to za zwykłe zastraszanie przez księży. Zleceniodawcy podałem zawyżoną cenę, żebym mógł z jej pułapu negocjować, ale ku mojemu zaskoczeniu szefowie Mefisto zgodzili się na moją propozycję.

To były lata 70.?

Tak, sytuacja miała miejsce w 1978 roku. Łatwo zapamiętać, bo to rok wyboru Jana Pawła II na papieża. W dniu, kiedy miałem zawieźć obraz do nabywcy i odebrać wynagrodzenie...

W gotówce?

Tak, w tamtych czasach przelewy bankowe zupełnie inaczej funkcjonowały, a czeki w Polsce nigdy się nie przyjęły. W każdym razie tamtego dnia żona mi powiedziała, żebym od razu po przyjęciu zapłaty wracał do domu, a ona będzie czekać z dobrym obiadem. O 14 spotkałem się z moimi zleceniodawcami, którzy zaprosili mnie na mały koniaczek, żeby uczcić transakcję. Poszliśmy do innego lokalu i tam zostałem zaatakowany i dotkliwie pobity przez kilku opryszków. Straciłem przytomność, ktoś wezwał karetkę i zostałem przewieziony do szpitala przy ul. Kilińskiego.

Do napadu doszło w wybranej przez Pana zleceniodawców restauracji, a oni byli tego świadkami? I tylko oni wiedzieli o ładnej sumce, którą Pan miał w kieszeni...

Rozumiem, do czego ksiądz zmierza. Ja też ich o to podejrzewałem, ale nikt im tego nie udowodnił, a bandytów złapano i skazano. Nikogo jednak nie wydali. Szef Mefisto, podając się za mojego brata, wszedł do karetki, która mnie zawiozła do szpitala. Nie mam pewności, czy chciał pomóc i był zatroskany, czy chciał mi odebrać pieniądze, co nie udało się bandziorem. Nic złego jednak w tej karetce nie zrobił.

Pomimo utraty przytomności złodzieje nie zabrali Panu pieniędzy?

Inni goście restauracji stanęli w mojej obronie, ale tego już sam nie pamiętam. OK, a co stwierdzili lekarze w szpitalu? W szpitalu stwierdzono złamanie szczęki, skrzeszenie oczodołu prawego oka, złamanie nosa, wybite kilku zębów, wstrząs mózgu, pęknięcie czaszki i wylew krwi do mózgu. Nie dawałem żadnych oznak życia i lekarze stwierdzili, że nie można mnie uratować. Jeden z lekarzy powiedział prorocze słowa: „Chyba, że stanie się cud”. W międzyczasie zadzwoniono do mojej żony, która natychmiast przyjechała do szpitala.

Żona, której obiecał Pan, że szybko i bezpiecznie wróci do domu na obiad.

Tak, miałem gdzieś głęboko w głowie zakodowane, że muszę wrócić do naszego mieszkania na obiad, że tam już czeka na mnie i martwi się moja ukochana żona. Wiedziałem, że jestem spóźniony i muszę jak najszybciej wrócić do domu. Pewnie dlatego około 2 w nocy, kiedy miałem śmierć kliniczną, „wyszedłem” ze szpitala i „pobiegłem” do naszego domu, zmartwiony, że moja żona tak długo już na mnie czeka. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest noc. „Biegłem” szybko ulicami Wrocławia z ul. Kilińskiego do mojego domu na ul. Grabiszyńskiej, unosiłem się w powietrzu, jakbym płynął, ponieważ nie czułem styczności z ziemią. Było pusto i świeciły się lampy. Mieszkaliśmy na drugim piętrze i miałem zwyczaj biec po dwa schody, więc i tym razem tak „biegłem”, ale nie czułem żadnego zmęczenia ani ciężaru własnego ciała. Do mieszkania wszedłem, normalnie otwierając drzwi, w przedpokoju było już ciemno, więc zapaliłem światło. Gdy wszedłem do pokoju, zaskoczony zauważyłem, że moja żona śpi na tapczanie w pokoju. Byłem tym zaskoczony, ponieważ żona miała na mnie czekać z ciepłym obiadem. Zdałem sobie sprawę, że jest noc. I wtedy jakby wciągnął mnie do góry jakiś wir. Siła tego porwania do góry była ogromna. W tamtym momencie nic nie czułem, nic nie widziałem. Było ciemno...

Do tamtego momentu nie zdawał Pan sobie sprawy, że jest już po drugiej stronie?

Nie, to było wszystko zupełnie inne, ale ja po prostu przejmowałem się swoją żoną, która na mnie czekała.

Co było po tym porwaniu do góry przez wir?

Nagle zobaczyłem ogrom jasnego światła. To było potężne, nieogarnione, wręcz nie do opisanego światło. Blask był taki silny i intensywny, ale jednocześnie nie oślepiał. Czułem się wtedy bardzo szczęśliwy, zalewał mnie ogrom miłości. Stałem oniemiały w zachwycie i w niewypowiedzianym szczęściu. Ta światłość patrzyła na mnie z wielką czułością i miłością. Przeszywało mnie totalne szczęście. Tego nie da się opisać słowami. Tego szczęścia i miłości. Cała ta światłość była jakby jednym wzrokiem, który wszystko przenika. Stojąc w tej osobowej światłości pełnej miłości i miłosierdzia, wiedziałem, że stoję przed Bogiem. Bogiem, który jest miłością. Chwilę później zobaczyłem sceny ze swojego życia, można powiedzieć, że oglądałem film ze swojego życia. Wszystko było całkowicie odkryte, obnażone. Wszystkie maski zostały zrzuczone. Cały czas też miałem świadomość, byłem tego zupełnie pewien, że ktoś stoi za mną. Był to szatan.

Widział go Pan?

Nie, ale miałem całkowitą pewność, że za mną stoi osoba szatana. On mnie oskarżał, wskazywał na wszystkie moje grzechy. Oskarżał mnie przed Bogiem.

Czy diabeł mówił? Wypowiadał konkretne słowa?

Nie, to było niewerbalne. Szatan pokazywał przed Bogiem moje wszystkie grzechy, a ja wręcz spalałem się ze wstydu. Było mi tak ogromnie wstyd tych grzechów, że po prostu nie jestem w stanie o tym opowiedzieć. Bóg był obok i szatan ogołacał mnie, pokazując te grzechy. Ze wstydu paliłem się żywym ogniem. Równocześnie za każdym razem, kiedy we trójkę oglądaliśmy moje grzechy i przychodził ten wstyd, doświadczałem takiego miłostnego tchnienia, przeszywającej fali miłości i wybaczenia. Te fale łagodziły to pierwsze uczucie. Ja bardzo przeżywałem te oskarżenia, ale diabeł nie ma żadnego wpływu na Boże decyzje. Pan Bóg jest całkowicie niezależny od tego, co próbuje na nim wymusić szatan. Bóg osłania duszę podczas tego sądu, bierze ją w ramiona jak czuły ojciec. Wiedziałem wtedy, że w pełni należę do Boga, że jestem dzieckiem Bożym, które jest chronione i kochane. Kiedy jest się utulonym w Bożych ramionach, to jest to najwspanialsze uczucie, najwspanialszy stan, którego doświadczyłem. To poczucie, to przekonanie, że jest się kochanym i bezpiecznym. I nagle wszystko jakby się zatrzymało i wróciłem.

Ten powrót był przyjemny?

Nie był ani przyjemny, ani straszny. Po prostu wróciłem. Leżałem na szpitalnym łóżku, moja żona ocierała moją twarz z krwi. Wróciłem do żywych, ale to doświadczenie odmieniło moje życie. Przewartościowałem je.

Czy ma Pan jeszcze jakieś dowody, które potwierdzają autentyczność tego doświadczenia?

Oczywiście poza dokumentacją medyczną, która mówi tylko o chorobie ciała. Mam świadka. Po powrocie ze szpitala moja żona usnęła na kanapie w pokoju. Tak też ją zastałem, kiedy do niej „przyleciałem”. To szczegół, który się potwierdził, ale bardziej szokujące jest to, co mi później powiedziała moja żona. W nocy około 2 obudziły ją dzwony kościelne i zobaczyła, że w przedpokoju pali się światło. Szybko poszła je wyłączyć i ku swemu przerażeniu zobaczyła, że drzwi wejściowe są otwarte na oścież. Była przekonana, że do mieszkania weszli włamywacze. Na szczęście nikogo nie znalazła i nie było żadnych śladów włamania. Pomyślała wówczas, że złodziej musiał się przestraszyć i uciec.

Ładnie to tak żonę w nocy straszyć? (śmiech)

Później oczywiście skojarzyliśmy fakty.

Co konkretnie zmieniło się w Pana życiu?

Przede wszystkim relacja Pana Boga. Wiedziałem, że muszę zmienić środowisko, w którym się obracałem. Tutaj, w Polsce, w tych układach, w których byłem, nie byłbym w stanie się zmienić. Razem z żoną podjęliśmy decyzję o wyjeździe do Niemiec, co w czasach Gierka nie było takie łatwe, jak teraz. Pewnej nocy przyśniło mi się obce miasto. Jakiś czas później wyjechaliśmy do Aachen, gdzie moja kuzynka miała mieć zapewnioną pracę. W Aachen okazało się, że padła ofiarą oszustwa. Zostaliśmy na lodzie, bez dachu nad głową. Wtedy moim łamanym niemieckim spytałem panią, która wyprowadzała akurat psa, o drogę na podany przeze mnie adres, gdzie mieszkał mój dawny kolega. Ta kobieta rozpoznała mój akcent i odpowiedziała do mnie po polsku, żebym nie męczył się tym niemieckim. Okazało się, że jej mąż jest prominentnym biznesmenem i kilka dni później załatwił nam pracę w Düsseldorfie. Przez ten czas zatrzymaliśmy się w domu tej kobiety.

Niesamowita historia.

Niesamowicie było później, bo kiedy pojechaliśmy do Düsseldorfu, zorientowałem się, że jest to miasto, które mi się przyśniło. Tam faktycznie otrzymałem bardzo dobrą pracę i razem z rodziną osiedliliśmy się na prawie 20 lat. Tam też wstąpiłem do wspólnoty Miłosierdzia Bożego. W latach 90. wróciliśmy do Polski.

I tutaj rozpoczął Pan budowę kaplicy.

Po moim nawróceniu na modlitwie rozeznałem, że powinienem wybudować kaplicę pod wezwaniem św. siostry Faustyny. Była to pierwsza kaplica w Polsce pod jej wezwaniem. Oczywiście budowa nie była łatwa, ale miałem swoje oszczędności, poza tym mieszkańcy, sąsiedzi i zaprzyjaźniony tartak bardzo mi pomogli. Obecnie jestem kustoszem kaplicy Miłosierdzia Bożego pw. św. s. Faustyny oraz animatorem grupy modlitewnej Miłosierdzia Bożego w Tarcach Osiedle k. Jarocina w Wielkopolsce. Tę wioskę mieszkańcy zwykli nazywać Betlejemką.

Czy te przedsięwzięcia odbywają się za zgodą biskupa i proboszcza?

Oczywiście, nie wyobrażam sobie, żeby miało być inaczej. 4 czerwca 1997 roku w Kaliszu Ojciec Święty Jan Paweł II poświęcił kamień węgielny uprzednio przywieziony przez kilkunastu pielgrzymów z Düsseldorfu z Góry Oliwnej w Jerozolimie.

To nawet za zgodą papieża!

Rok później zawiozłem Ojcu Świętemu kronikę dokumentującą budowę kaplicy. Byłem mu bardzo wdzięczny za błogosławieństwo. Kiedy kaplica została poświęcona? W 1997 roku bp Teofil Wilski dokonał poświęcenia kaplicy w dniu wspomnienia i śmierci siostry Faustyny. W uroczystej Mszy Świętej wzięła udział siostra Kajetana ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia z Wrocławia, która osobiście знаła świętą siostrę Faustynę.

Ale zaraz, wspomnienie św. siostry Faustyny wypada 5 października, czyli kaplica musiała powstać zaledwie w cztery miesiące!

Podczas jej budowy działy się cuda. Pewnego dnia jechałem samochodem do pobliskiego tartaku, żeby kupić drewno na budowę, ale w duszy poczułem natchnienie, żebym jechał do odległego tartaku w Grodźcu. Nie wiem czemu, ale skręciłem i faktycznie pojechałem do Grodźca. Okazało się, że właściciel tartaku drewno na budowę kaplicy ofiarował za darmo. I dzięki takim małym Bożym cudom

wszystko się udało. Papieskie błogosławieństwo ma moc! Rok później sprowadziliśmy relikwie patronki kaplicy. W każdą niedzielę o 19 jest w niej sprawowana Eucharystia, a codziennie o 15 prowadzę śpiewaną Koronkę do Miłosierdzia Bożego.

Łaska Boża jest niesamowita!

Źródło:

<https://www.niedziela.pl/artukul/128405/>